



Harlequin®

GWIAZDY ROMANSU



Linda
HOWARD
OSTATNIA NOC

Linda
HOWARD

OSTATNIA NOC

Tłumaczyła
Lena Huppert

Tytuł oryginału: Come Lie with Me

Pierwsze wydanie: Silhouette Books, 1984

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech, Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 1984 by Linda Howington

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i serii Harlequin Gwiazdy Romansu są zastrzeżone.

Wydawnictwo Arlekin – Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8320-3

Gwiazdy Romansu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ocean miał hipnotyzujące działanie. Diana poddała mu się bez reszty, w milczeniu przypatrując się turkusowym falom, które raz po raz obmywały olśniewająco biały piasek. Nie należała do osób kochających bezczynność, jednak dziś naprawdę się cieszyła, że siedzi na tarasie w wynajętym domku na plaży z wyciągniętymi przed siebie nogami, długimi i opalonymi, i może wpatrywać się w fale, słuchając ich łagodnego szumu w powtarzającym się rytmie przyływu i odpływu. Ten niezwykle widok przecinały co jakiś czas białe mewy, których piskliwy krzyk dopełniał symfonii tworzonej przez wodę i wiatr. Wystarczyło spojrzeć na prawo, by dostrzec słońce w postaci wielkiej złocistej kuli, która zanurzała się w mieniącym się ognistocie lustrze oceanu. Mogłoby z tego wyjść niesamowite zdjęcie, ale Diana nie chciała teraz wstawać i iść po aparat. Miała za sobą wspaniałą dzień, który upłynął jej na spacerze wzdłuż plaży

i kąpeli w turkusowych wodach Zatoki Meksykańskiej.

Naprawdę żyć, nie umierać! To były idealne wakacje. Od dwóch tygodni przechadzała się po nieskazitelnych plażach Panama City na Florydzie, wreszcie sama, szczęśliwa i rozleniwiona. W jej domku nie było zegara i odkąd tu przyjechała, czas przestał dla niej istnieć. Nie było ważne, o której godzinie się zbudzi. Po tych dwóch wspaniałych tygodniach czuła się jak nowo narodzona.

Nagle jej uwagę przykuła żaglówka, która powoli i leniwie dobijała do brzegu. Diana była tak pochłonięta podziwianiem jej pięknego zarysu, że w pierwszej chwili nie dostrzegła mężczyzny, który wyszedł na pokład. Zwróciła na niego uwagę dopiero wtedy, gdy przeszedł na dziób i łódź zaczęła się kołysać. Nie mogła oderwać oczu od tego idyllicznego widoku. Wysoki, szpakowaty mężczyzna również przez dłuższą chwilę patrzył w jej stronę. Pomyślała, że zupełnie nie pasuje do tej scenerii. Panama City, znany kurort wakacyjny, słynęło ze swojego niepowtarzalnego, całkowicie wyluzowanego klimatu, tymczasem on miał na sobie nienaganny trzyczęściowy garnitur.

Wolnym krokiem zmierzał w jej kierunku i od razu pomyślała, że pewnie musi mieć w pantoflach mnóstwo piasku, który wdzierał się dosłownie wszędzie.

– Pani Kelley? – zagaił uprzejmie.

Zdziwiona, zdjęła nogi z balustrady i wstała.

– Tak, zgadza się, Diana Kelley. Z kim mam przyjemność?

– Richard Dylan, proszę mi wybaczyć, że niepokoję panią w czasie urlopu, ale muszę pilnie z panią porozmawiać.

– Proszę usiąść. – Diana wskazała nieznanemu leżak obok siebie i usiadła, przybierając swoją poprzednią pozycję. – A więc w czym mogę panu pomóc?

– Jakieś sześć tygodni temu pozwoliłem sobie do pani napisać... Chodziło o Blake'a Remingtona, pacjenta, którego chciałbym powierzyć pani opiece.

– Blake Remington? Ach, tak, przed wyjazdem na urlop wysłałam odpowiedź, nie otrzymał jej pan?

– Owszem, otrzymałem, ale przyjechałem, by prosić panią, żeby pani raz jeszcze przemyślała swoją decyzję. Jego stan wciąż się pogarsza, jestem przekonany, że pani...

– Nie jestem cudotwórczynią – przerwała mu Diana – zajmuję się teraz innymi przypadkami i nie rozumiem, dlaczego miałabym stawiać potrzeby pana Remingtona na pierwszym miejscu. Inni tak samo potrzebują mojej pomocy.

– Są na granicy życia i śmierci? – zapytał twardo Richard.

– Z pana listu nie wynikało, że jest aż tak źle. Pisał pan, że ostatnia operacja się udała. Poza mną są przecież jeszcze inni terapeuci, równie dobrze pracujący z pacjentami...

Richard Dylan wbił wzrok w zatokę, która mieniła się złociście od promieni zachodzącego słońca.

– Blake nie przeżyje kolejnego roku – powiedział znużonym głosem, a jego surowe rysy twarzy wyostrzyły się jeszcze bardziej. – Nie wierzy, że jeszcze kiedykolwiek będzie chodził, jest całkowicie zrezygnowany i nie podejmuje walki z chorobą. Robi to celowo, bo chce szybciej to wszystko zakończyć...

Odmawia jedzenia, wyjścia z domu i ma olbrzymie trudności ze snem.

Często właśnie depresja była główną przeszkodą w rehabilitacji jej pacjentów. Odbierała im energię i determinację. Tyle razy już to przerabiała i wiedziała, że wciąż od nowa musi podejmować to wyzwanie w czasie leczenia.

– Z pewnością inny terapeuta będzie równie pomocny...

– Nie sędzę – wszedł jej w słowo Dylan. – Zatrudniłem już dwóch i żaden z nich nie zabawił dłużej niż tydzień. Blake odmawiał wszelkiej współpracy, twierdząc, że to wyłącznie strata czasu. Lekarze próbują go przekonać, że operacja się udała, ale on wciąż nie jest w stanie poruszać nogami, więc im po prostu nie wierzy. Doktor Norwood gorąco nam panią polecał, twierdząc, że odniosła pani godne podziwu sukcesy z pacjentami, którzy mieli takie same problemy jak Blake.

Diana uśmiechnęła się kwaśno.

– Owszem, czasami udawało mi się, ale...

– Jest pani dla nas ostatnią deską ratunku – w jego oczach czaiła się błagalna nadzieja – ale jeśli pani nadal uważa, że inni pacjenci są w podobnej potrzebie, nie mam nic do dodania. Proszę tylko o jedno, żeby pani pojechała ze mną do Phoenix i poznała Blake’a, a wówczas zrozumie pani, dlaczego tutaj jestem, dlaczego nie mogę sobie odpuścić.

Diana rozważała w myślach jego słowa. Czuli się rozdarta, bo niby dlaczego Blake miał być ważniejszy od jej dotychczasowych pacjentów? Z drugiej strony jednak przypadek Remingtona brzmiał jak wyzwanie,

a ona wprost uwielbiała się sprawdzać, testować swoje granice i potwierdzać swoje możliwości. W ciągu ostatnich kilku lat uzyskała naprawdę imponujące wyniki.

– Blake to wyjątkowy człowiek, pani Kelley, opracował szereg podsystemów związanych z konstrukcją samolotów, które znalazły szerokie zastosowanie w lotnictwie. Odbywał loty testujące samoloty rządowe, zdobywał najwyższe szczyty świata, uczestniczył w regatach i nurkował w najgłębszych wodach oceanu. Krótko mówiąc, to mężczyzna, który zdobywał świat, a teraz jest przykuty do wózka inwalidzkiego i to go zabija.

– W jakich okolicznościach wydarzył się ten wypadek? – zapytała Diana.

– W czasie wspinaczki zaklinowała mu się lina i pękła... Spadł w dół jakieś piętnaście metrów na półkę skalną, odbił się od niej, a następnie poleciał siedemdziesiąt metrów w przepaść. Uratował mu życie śnieg, który zamortyzował upadek. Wiele razy powtarzał, że gdyby wypadek zdarzył się latem, nie musiałby spędzić reszty życia na wózku.

– Proszę mi opisać dokładnie tę kontuzję – poprosiła Diana.

Mężczyzna wstał.

– Mam ze sobą całą dokumentację, między innymi zdjęcia rentgenowskie. Doktor Norwood zasugerował mi, bym zabrał je ze sobą.

– To bardzo chytre zagranie...

Tobias Norwood dobrze wiedział, jak wzbudzić jej zainteresowanie i wciągnąć do współpracy. Już teraz była mocno zaintrygowana tym przypadkiem i tylko

krok dzielił ją od wyrażenia zgody. Jednak ostateczną decyzję postanowiła podjąć, gdy obejrzy zdjęcia rentgenowskie i przeczyta historię choroby. Doszła do wniosku, że jeśli uzna, że nie jest mu w stanie pomóc, nie będzie go narażać na stres związany z długotrwałą terapią.

Richard Dylan wrócił po chwili, niosąc w dłoni grubą kopertę. Podał ją Dianie w milczeniu i wyraźnie czekał na odpowiedź. Ona jednak zamiast niezwłocznie zajrzeć do środka, zaczęła bębnić w kopertę paznokciami.

– Pozwoli pan, że przejrzę to do wieczora i wtedy dam panu odpowiedź. Nie mogę podjąć decyzji, rzuciwszy na to tylko okiem – powiedziała stanowczo.

Na twarzy Dylana malowało się niezadowolenie, ale po chwili wahania kiwnął głową.

– W porządku, dziękuję – powiedział i pożegnał się z Dianą.

Już po kilku minutach zniknął pod pokładem swojej zagłówki.

Diana długo jeszcze wpatrywała się w turkusowe fale, które po zetknięciu z piaskiem zmieniały kolor na białe. Jej urlop dobiegał końca, minęły dwa cudowne tygodnie słodkiego lenistwa na wąskim cyplu Florydy, pod błękitem tutejszego nieba, pośród szumu fal i krzyku mew.

Otworzyła kopertę i wyjęła z niej zdjęcia rentgenowskie, po czym jedno po drugim podnosiła wysoko w stronę słońca. Westchnęła głęboko, widząc uszkodzenia, które unieruchomiły silne, prężne ludzkie ciało. To prawdziwy cud, że nie zginął na miejscu, pomyślała. Kolejne zdjęcia ukazywały efekty operacji, ponastawia-

ne i pozrastane kości, zresztą lepiej, niż ktokolwiek mógłby się tego spodziewać. Obejrzała zdjęcia stawów poskładanych i poskręcanych śrubami, dzięki którym całe ciało trzymało się kupy. Skrupulatnie przejrzała ostatnie zdjęcia. Uznała, że chirurg, który wykonał tę robotę, był prawdziwym geniuszem, a uzyskane wyniki to po prostu cud.

Ostatecznie nie znalazła żadnej fizycznej przyczyny, z powodu której Blake Remington nie miałby chodzić, oczywiście pod warunkiem, że nie zostały całkowicie zniszczone nerwy. Zaczęła czytać raport sporządzony przez chirurga, długo skupiając uwagę na każdym szczególe. Wczuwała się w każde, nawet najmniejsze uszkodzenie i analizowała metodę, jaką zostało usunięte.

Gdy skończyła, sprawa wydawała się jasna: ten facet może chodzić, a jak może, to musi. Uznała, że zadanie jest trudne, ale nie niemożliwe. Na końcu raportu widniała krótka adnotacja, że na przeszkodzie dalszej poprawie stoi brak współpracy ze strony pacjenta, spowodowany głęboką depresją. Niemal czuła frustrację chirurga, który skreślił te słowa. Po tak ogromnym wysiłku, jaki włożył, by przywrócić organizm tego człowieka do normalnego funkcjonowania, spotkał się z niewdzięcznością – pacjent nie chciał żyć.

Zauważyła, że w kopercie jest coś jeszcze, jakiś sztywny kawałek papieru. Wyjęła go i ze zdziwieniem stwierdziła, że to fotografia. Zaskoczona, spojrzała w parę błękitnych, roześmianych, pełnych radości życia oczu. Musiała przyznać, że Richard Dylan był inteligentny i przebiegły. Doskonale zdawał sobie

sprawę, że większość kobiet nie byłaby w stanie oprzeć się urokowi mężczyzny widniejącego na zdjęciu. Pochodziło oczywiście z okresu sprzed wypadku. Miał zmierzwiłone włosy, a na mocno opalanej twarzy szelmowski uśmiech i uroczy dołeczek w lewym policzku. Miał na sobie tylko bawełniane szorty, można więc było podziwiać jego silne, wspaniale umięśnione ciało, atletyczną budowę i długie nogi. W objęciach ścisnął deskę do surfingu, a za jego plecami lśniły ciemno-granatowe wody oceanu. Czy było coś, czego ten facet nie spróbował lub nie potrafił? A teraz nie mógł podnieść się z wózka. Miała zamiar odmówić poprowadzenia tego przypadku, choćby tylko dlatego, żeby pokazać Dylanowi, że nie można nią manipulować. Ale gdy raz jeszcze spojrzała na promienną twarz na fotografii, wiedziała, że nie będzie w stanie tego zrobić.

Ta świadomość ją zaniepokoiła, bo już od dawna żaden mężczyzna nie wzbudził w niej takiego zainteresowania. Obrysowała koniuszkiem palca kontur jego twarzy, zastanawiając się, jakie byłoby jej życie, gdyby potrafiła być zwykłą kobietą, gdyby umiała dać i przyjąć miłość. Coś, co w jej krótkim i katastrofalnym małżeństwie okazało się niemożliwe. Dostała nader trudną lekcję od życia i nigdy jej nie zapomniała. Faceci po prostu nie byli dla niej, nie miała szans ani na męża, ani na dzieci. Pustkę powstałą w jej życiu na skutek braku miłości musiała zapełnić pracą zawodową, przynoszącą jej satysfakcję. Być może oczarowało ją to zdjęcie Blake'a Remingtona, ale ten sen na jawie, któremu ochoczo poddałaby się każda kobieta w odpowiedzi na emanującą ze zdjęcia oszałamiającą mę-

kość, także nie był dla niej. Sny na jawie były czystą stratą czasu. Zbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie przykuć uwagi takiego mężczyzny, jakim jest Blake. Jej były mąż, Scott Hayes, uzmysłowił jej w niezwykle poniżający sposób, że najwyższą głupotą jest wiązać się z mężczyzną, którego nie jest się w stanie zaspokoić i w ogóle zadowolić. Po rozstaniu ze Scottem obiecała sobie, że nigdy więcej nie będzie tak lekkomyślnie kusić losu i nie da już żadnemu mężczyźnie okazji, by ją zranił.

Uniosła głowę, pozwalając, by nagły podmuch wiatru owionął jej twarz. Ze zdziwieniem stwierdziła, że słońce zaszło już za horyzont, a ona, pogrążona bez reszty w swoich mrocznych wspomnieniach, nawet tego nie zauważyła. Poczula lekki chłód, wstała więc i weszła do domu. Zapaliła lampę, rozświetlając tym samym niepodzielną szarość panującą wewnątrz. Tak było znacznie lepiej.

Opadła na miękki fotel, odchyliła do tyłu głowę i zaczęła planować program terapeutyczny dla Blake'a Remingtona. Oczywiście żadne szczegóły nie wchodziły w grę, dopóki nie pozna swojego pacjenta i sama nie oceni jego stanu, ale uwielbiała takie wyzwania ponad wszystko. Na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech oczekiwania, uśmiech, który zawsze jej towarzyszył w takiej sytuacji. Wiedziała, że będzie musiała zachować w tym przypadku najwyższą ostrożność, uważać, by sytuacja nie wymknęła się jej spod kontroli. Blake był wyjątkowo trudnym przypadkiem, a to oznaczało niełatwą drogę. Będzie zmuszona uciec się do różnych trików, wykorzystać jego bezbronność, by go wydzwignąć z cierpienia, które ogarnęło jego ciało

i umysł. Z pewnością wzbudzi to w nim wściekłość, ale warto jest przejść przez piekło, jeśli ma się potem trafić do nieba. Taka terapia nie była niedzielnym piknikiem, nie raz miała do czynienia z trudnymi pacjentami, z ludźmi, którzy tak bardzo byli przygnębieni swoim stanem, że bez reszty pogrążali się w rozpacz i odcinali od świata. Remington, zanim przytrafił mu się ten wypadek, był wyjątkowym śmiałkiem, żeby nie powiedzieć szaleńcem, i miał fantastyczną kondycję. Nietrudno więc było się domyślić, że przykucie do wózka było dla niego powolnym umieraniem. Nie obchodziło go, czy żyje, czy umiera. Nic go pewnie nie obchodziło.

Tej nocy spała wyjątkowo dobrze. Wstała, by jak zwykle pobiegać wzdłuż plaży. Nie, nie uprawiała joggingu na serio, to znaczy nie podliczała pokonanych kilometrów i nie podnosiła z dnia na dzień poprzeczki. Biegała dla czystej przyjemności, do momentu, aż poczuła zmęczenie, a potem spacerowała jeszcze brzegiem morza, pozwalając, by chłodna woda obmywała jej stopy.

Gdy wróciła do domku, słońce stało już wysoko na niebie. Wzięła prysznic i zaczęła się pakować. Podjęła decyzję, a zatem nie należało tracić czasu. Była pewna, że Dylan wkrótce się zjawi i tak też się stało. Nawet nie był zdziwiony, gdy zobaczył jej spakowaną walizkę.

– Wiedziałem, że się pani zgodzi...

– Zawsze jest pan tak pewny siebie, panie Dylan?

– Diana, spoglądając na niego, uniosła jedną brew.

– Proszę mi mówić Richard. Nie, nie zawsze jestem taki pewny siebie, ale doktor Norwood sporo mi

o pani opowiedział. Był przekonany, że przyjmie pani tę propozycję, bo będzie dla pani wyzwaniem. A kiedy panią zobaczyłem, zrozumiałem, że miał rację.

– Widzę, że będę musiała z nim poważnie porozmawiać na temat wyjawiania moich tajemnic – zażartowała Diana.

– Z pewnością nie wyjawiał wszystkich...

Głos Richarda był intrygujący i zaczęła się zastanawiać, jak wiele wiedział.

– Sądzę, że ma pani jeszcze wiele tajemnic – powiedział zniżonym głosem, patrząc jej w oczy.

Zrozumiała, że ma do czynienia z kimś bardzo bystrym, wołała więc skupić się na swoich bagażach, zamiast wdawać się w dalszą dyskusję. Richard natychmiast wziął od niej walizkę i zaniósł ją do samochodu.

Gdy już siedzieli w prywatnym samolocie zmierzającym do Phoenix, zaczęła wypytywać Richarda o nowego pacjenta: co lubił, a czego nie, jak spędzał swój wolny czas, ale także o to, jakie miał wykształcenie, poglądy polityczne, ulubione kolory, z jakimi kobietami się umawiał i jaka była jego żona, jeśli był żonaty. Żony często były zazdrosne o bliską relację, jaka zwykle nawiązywała się między terapeutką i pacjentem, dlatego wołała się przygotować, zanim zrobiła coś nie tak. Richard wiedział zaskakująco wiele na temat prywatnego życia Blake'a Remingtona, dlatego w końcu zapytała, co ich łączy.

– Po pierwsze, jestem nie tylko jego współnikiem, ale także zastępcą, i stąd znam jego życie zawodowe, a po drugie, jestem też jego szwagrem, ale jedyną kobietą, z którą będzie pani miała do czynienia, jest

moja żona, Serena. Niestety, jest zarazem jego młodszą siostrą.

– Mam rozumieć, że mieszkacie razem, w jednym domu?

– Nie, ale od czasu wypadku Serena opiekuje się bratem i pewnie nie będzie zachwycona, gdy skupi pani na sobie całą jego uwagę. Zawsze uwielbiała swojego brata, niemal obsesyjnie, i była bliska szaleństwa, gdy zachodziło podejrzenie, że nie żyje.

– Wszystko rozumiem, ale nie mogę dopuścić, by ktoś zaburzał mój program terapii – ostrzegła go Diana. – Zawsze osobiście wszystko nadzoruję, cały harmonogram dnia, a więc wszelkie odwiedziny, spożywane posiłki, a nawet telefony, które odbiera. Mam nadzieję, że twoja żona to zrozumie.

– Będę się starał ją przekonać, ale Serena jest taka jak Blake, już na świat przyszła zdeterminowana i uparta, a poza tym ma klucz do domu brata...

– W takim razie trzeba będzie wymienić zamki – myślała na głos Diana, traktując sprawę zupełnie serio. – Kochająca siostra czy nie, to bez znaczenia, najważniejszy jest zaplanowany przeze mnie program.

– W porządku. – Richard zmarszczył czoło. – Nie mam nic przeciwko temu, by odzyskać żonę.

W tym momencie Dianie zaczęło świtać w głowie, że Richard mógł mieć zupełnie inny motyw działania i powód, dla którego tak bardzo mu zależało, by jego szwagier znów zaczął chodzić. Najwyraźniej w czasie tych ostatnich dwóch lat, od wypadku Blake'a, Serena zupełnie zatraciła się z pragnieniem niesienia pomocy bratu, zapominając o swoim małżeństwie. Zaniedbywała tym samym męża, to jasne, ale to sprawa, w którą

Diana wcale nie miała ochoty się mieszać. Obiecała wyciągnąć Blake'a Remingtona z kryzysu i miała zamiar dotrzymać słowa. Zawsze dotrzymywała słowa, nie lubiła sprawiać ludziom zawodu.

Z powodu zmiany czasu było dopiero koło południa, gdy dotarli do ekskluzywnych przedmieść Phoenix, gdzie mieszkał Blake Remington. Lincoln Richarda wjechał na podjazd posesji i Diana doznała prawdziwego szoku. Uznała, że nazywanie tej budowli domem, to tak, jakby ktoś chciał na huragan powiedzieć zefirek. To był istny pałac, biały i tajemniczy, ze wspaniałą fasadą. Zresztą całe otoczenie zapierało jej dech w piersiach: mieszanina dzikich pustynnych roślin i pieczołowicie nawadnianej, soczystej zieleni. Gdy znaleźli się w foyer, pomyślała, że właśnie przekroczyła próg raj. Panowała tu podniosła atmosfera, a zarazem pełna surowości prostota. Bardzo wysokie sufity i ściany były nieskazitelnie białe i odbijały się w tafli wypolerowanej terakoty w ciepłym odcieniu brązu, a do tego cała zewnętrzna ściana foyer była przeszklona. Zabudowania miały kształt podkowy z otwartym dziedzińcem, pośrodku którego znajdowała się fontanna z blad różowego marmuru. Mimo że jej klienci byli na ogół naprawdę zamożni, taki luksus spotykała bardzo rzadko.

Stała wciąż oniemiała z wrażenia, gdy nagle rozległ się stukot obcasów po posadzce i po chwili ujrzała wysoką, młodą kobietę, zmierzającą w ich kierunku. Tak, to musiała być Serena. Dianę uderzyło jej podobieństwo do brata, te same ciemne, brązowe włosy, głębokie, niebieskie oczy i delikatne rysy twarzy. Nie uśmiechała się jednak jak mężczyzna ze zdjęcia. W jej spojrzeniu widoczna była złość.

– Richard, gdzie się podziewałeś przez ostatnie dwa dni? – zapytała poirytowana. – Jak śmiesz znikać bez słowa, a potem zjawiać się tu z jakąś... jakąś... Cyganką!

Diana miała ochotę parsknąć śmiechem. Rzadko która kobieta atakowała ją tak jawnie. Chciała jej wytłumaczyć, po co tu przyjechała, ale Richard ją uprzedził.

– Diano – zaczął, spoglądając na żonę chłodnym wzrokiem – pozwól, że ci przedstawię moją żonę. Sereno, to jest Diana Kelley. Pani Kelley będzie nową rehabilitantką Blake’a. W tym celu pojechałem na Florydę i pani Kelley zgodziła się przyjechać tu ze mną. To prawda, nie mówiłem o tym, dokąd i po co jadę, bo nie wiedziałem, czy pani Kelley wyrazi zgodę, no i nie chciałem wdawać się w niepotrzebne dyskusje... Od dziś pani Kelley będzie pracować z Blakiem, podpisałem z nią umowę o pracę i już. To powinno stanowić odpowiedź na wszystkie twoje pytania – dookończył z sarkazmem.

Mimo że Serena raczej nie należała do kobiet, które łatwo jest onieśmielić, teraz oblała się rumieńcem.

– Przepraszam – zwróciła się do Diany – choć nie zamierzam brać całej winy na siebie. Gdyby mój mąż był tak uprzejmy i poinformował mnie o swoich zamiarach, nie odważyłabym się na tak nieroztropne słowa.

– Rozumiem. – Diana uśmiechnęła się. – Naprawdę nie wiem, jak bym się zachowała w pani sytuacji.

Serena odwzajemniła uśmiech, po czym podeszła do męża, by złożyć na jego policzku spóźniony powitalny pocałunek.

– Dobrze, więc ci wybaczam – westchnęła – ale

obawiam się, że to na nic się nie zda, tylko zmarnowałeś czas. Wiesz, jaki jest Blake, nienawidzi, gdy ktoś nad nim ślęczy. Dość już przeszedł...

– Najwyraźniej jednak nie, bo gdyby tak było, dziś już by chodził – odezwała się zamiast Richarda Diana. Jej głos brzmiał, jakby była całkowicie pewna siebie.

Serena wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawiło się powątpiewanie.

– Wciąż uważam, że to wyłącznie strata czasu. Jak dotąd Blake konsekwentnie odmawiał wszelkiej współpracy, i nie sądzę, żeby dzięki pani argumentom miał nagle zmienić zdanie.

– Mimo to chętnie z nim porozmawiam, jeśli można – powiedziała Diana stanowczo, choć starała się być uprzejma.

To nadopiekuńcze zachowanie Sereny wobec brata nie było niczym nietypowym. Po tego typu ciężkich wypadkach nadopiekuńczość członków rodziny była czymś zupełnie naturalnym. Może, gdy Serena dostrzeże jej profesjonalizm, zacznie więcej uwagi poświęcać mężowi.

– O tej porze Blake jest zwykle w swoim pokoju – poinformował rzeczowo Richard. – Proszę tędy.

– Richard! – ofuknęła go żona. – On teraz uciał sobie drzemkę. Zostaw go w spokoju, dopóki nie zechce zejść na dół. Wiesz przecież, jak kiepsko sypia, daj mu więc choć chwilę odpocząć.

– Codziennie ucina sobie drzemkę? – zapytała Diana. Nic dziwnego, pomyślała, że nie mógł zasnąć wieczorem, jeżeli spał w ciągu dnia.

– Stara się, ale zazwyczaj gorzej wygląda po takiej drzemce niż przed nią...

– W takim razie chyba nic się nie stanie, jak mu ją przerwiemy... – wtrąciła sprytnie, uznając, że jest to odpowiedni moment, by określić swoją pozycję.

Richard wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu i ruszył z nią w kierunku krętych schodów. Diana czuła na sobie niechętnie spojrzenie Sereny, a po chwili rozległy się za nimi jej kroki.

Na piętrze zastosowano bardzo ciekawe rozwiązanie architektoniczne: wszystkie pokoje wychodziły na coś w rodzaju galerii w kształcie podkowy z widokiem na patio.

Richard zapukał do drzwi, które najwyraźniej zostały poszerzone, by bez trudu zmieścił się w nich wózek inwalidzki, a następnie, nie czekając na odpowiedź, otworzył je.

Wielki pokój tonął w świetle dnia, które napływało do środka przez rozsunięte zasłony, jednak szerokie, rozsuwane, szklane drzwi, prowadzące na galerię, były zamknięte. Ciemny, tajemniczy kontur męskiej sylwetki uwięzionej na wózku wyraźnie odcinał się na tle jasnego, zalanego promieniami słońca pomieszczenia. Niespodziewanie mężczyzna wyciągnął rękę, szarpnął za sznurek i w pokoju zapadł mrok.

Diana, zaskoczona tym nagłym mrokiem, zamrugala powiekami. Dopiero po chwili jej oczy przystosowały się do ciemności i wyraźniej dojrzała postać siedzącą na wózku.

Poczuła, jak sznuruje się jej gardło. Myślała, że jest przygotowana na to spotkanie, Richard opowiedział jej przecież, że Blake bardzo stracił na wadze i zmizerniał, ale dopóki go nie zobaczyła, nie zdawała sobie sprawy, że jego stan jest aż tak poważny. Uśmiechniętą twarz

ze zdjęcia i tę postać przykutą do wózka dzieliła bezkresna przepaść, aż trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba. Jedynym wspólnym elementem zdawały się być błękitne oczy, ale nie skrzyły się w nich teraz tamte radość i pasja. Były wyblakłe, zrezygnowane i bez życia, choć nawet te trudne przejścia, które Blake miał za sobą, nie zdołały zmienić ich niezwyklego koloru. Mężczyzna wychudł przeraźliwie i wyglądało na to, że od czasu, kiedy zrobiono tamto zdjęcie, musiał stracić jakieś dwadzieścia pięć kilo. Włosy miał cienkie i matowe od marnego odżywiania i zgryzoty, a brzydka fryzura wskazywała na to, że nikt ich już dawno nie podcinał. Twarz była blada i wymizerowana, niemal przezroczysta, z której dosłownie wystawały kości policzkowe.

Diana wprawdzie trzymała fason, ale w środku była cała rozdygotana. Zawsze, wbrew wszelkiej logice, angażowała się w życie swoich pacjentów, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej, żeby tak osobiście poczuła ich umieranie. Nigdy też tak bardzo nie była wściekła na los za tę niepojętą niedorzeczność i niesprawiedliwość, która odebrała temu mężczyźnie całą życiową energię i wspaniałe ciało, redukując go do unieruchomionej kupki nieszczęścia. Cierpienie i rozpacz wypisane miał na twarzy. Pod błękitnymi oczami rozciągały się ciemne cienie, a skronie przyprószone były siwizną. Jego niegdyś silne ciało bezwładnie zwisało na wózku, jakby je ktoś tam porzucił i o nim zapomniał.

Richard miał rację: Blake Remington nie chciał żyć. Spojrzał na nią bez cienia zainteresowania, a następnie przeniósł pusty wzrok na Richarda. Patrzył na nich, jakby nie istnieli.

– Gdzie byłeś? – zapytał beznamiętnym, matowym głosem.

– Musiałem coś załatwić – odparł Richard chłodno i cały pokój wypełniła lodowata niechęć, którą przepełnione były jego słowa.

Musiał bardzo nie lubić, gdy ktoś poddawał w wątpliwość jego działania, i trudno było dostrzec, by czuł się podwładnym Blake'a, mimo że to dla niego właśnie pracował. Z pewnością rozdrażniło go zachowanie żony i cała ta trudna sytuacja.

Serena podeszła do brata i westchnęła ciężko.

– Jest taki zdeterminowany – powiedziała cicho – że zatrudnił kolejną terapeutkę, niejaką Dianę Kelley.

Blake na chwilę przeniósł na nią wzrok i przyglądał się jej obojętnie.

Diana stała spokojnie, patrząc na niego i obserwując jego reakcję, a raczej jej brak. Richard, będąc u niej z wizytą, wspominał, że Blake wolał zawsze blondynki. Teraz miała nadzieję, że nie skreśli jej z powodu czarnych włosów, jeśli w ogóle odnotował, że jest kobietą. Oczywiście, oczekiwała od mężczyzn, że będą ją dostrzegać, była do tego przyzwyczajona. Zdawała sobie sprawę, że jest naprawdę atrakcyjną kobietą i nauczyła się umiejętnie to wykorzystywać. Ironią zdawał się jedynie fakt, że mimo tej, jak twierdzili wszyscy, oszałamiającej atrakcyjności, nie było jej dane zaznać prawdziwego męskiego uczucia i czulej opiekuńczości.

Potrafiła spojrzeć na siebie oczami Blake'a i dlatego starannie dobrała swój strój, chcąc wywrzeć na nim odpowiednie wrażenie, onieśmielić go, a zarazem zaintrygować. Każda metoda była dozwolona, jeśli miała

osiągnąć zamierzony cel, czyli przekonać go do współdziałania. Włosy, czarne, gęste i lśniące, zaczesła gładko do tyłu i tuż nad karkiem spięła złotym grzebieniem w kok. W uszach miała duże, złote koła. Serena nazwała ją Cyganką i rzeczywiście, musiała przyznać, że mogła wzbudzić takie skojarzenia. Miała nieco skośne, złociste oczy, skrzące się tajemniczo i obramowane gęstymi, ciemnymi rzęsami. Z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i z surowym konturem zuchwy wyglądała jak egzotyczna, wschodnia piękność, doskonała kandydatka do haremu bogatego szejka, gdyby się urodziła w tamtej kulturze i w zeszłym stuleciu. Miała na sobie sportowy strój, zarazem luźny i szykowny. Włożyła ręce do kieszeni i przyjęła pozycję, która uwydatniała jej jędrne, kształtne piersi. Była szczupła, a linia jej ciała miękko przechodziła od wciętej talii do lekko zaokrąglonych bioder, a potem dalej, kończąc się na smukłych, pełnych gracji nogach. Być może jej nowy pacjent nawet tego nie odnotował, ale jego siostra z pewnością tak, i natychmiast obudziła się w niej zazdrość. Wyraźnie nie chciała, żeby przebywała w ich domu, ani z jej mężem, ani z bratem.

Po dłuższym milczeniu Blake nagle pokręcił przecząco głową:

– Nie, zabierz ją stąd, Richard. Dajcie mi spokój!

Diana zerknęła na Richarda, a potem postąpiła krok do przodu, chcąc skupić na sobie uwagę pacjenta.

– Przykro mi, że tak mnie pan wita, panie Remington, ponieważ ja i tak zostanę – powiedziała łagodnie.

– Zawarłam już umowę, a zawsze dotrzymuję słowa.

– Zwalniam z niej panią – wymamrotał Blake i odwrócił głowę, by spojrzeć przez okno.